Europejskie NAJ

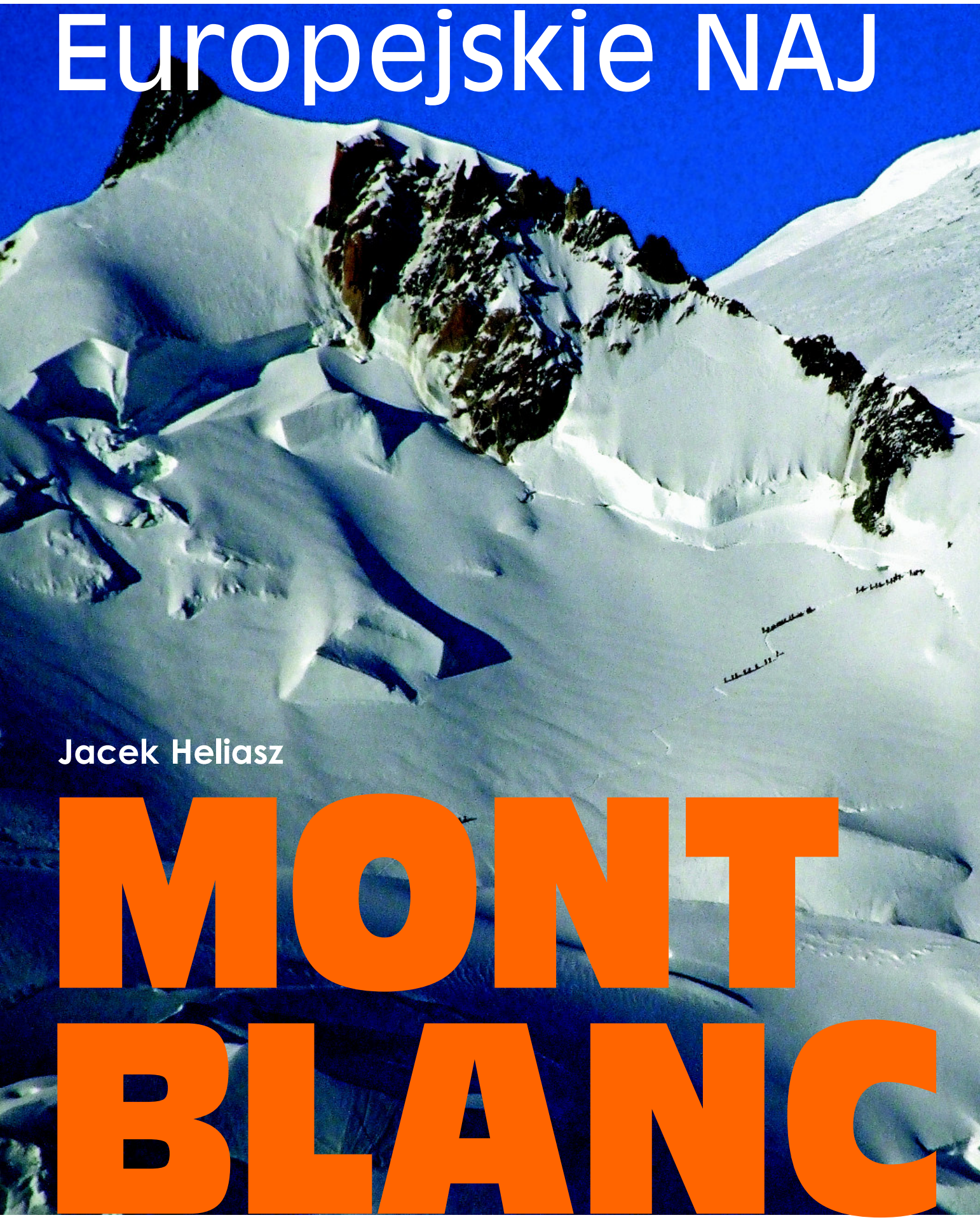

Jacek Heliasz

MONT BLANC

Mont Blanc, zwana przez Francuzów Białą Damą... jest piękna. Dookoła morze gór, wszystkie szczyty daleko w dole, nie ma już nic do zdobycia. Stojąc na Dachu Europy jest chwila na refleksję. Zastanawiam się, dlaczego tak wielu uważa że na Mont Blanc wbiega się sprintem i na dodatek w przysłowiowych „trampkach". Najwyższy szczyt Europy, mimo tłumów które go szturmują to wciąż poważna alpejska góra, a 4810 metrów to wysokość, która dosłownie zapiera dech w piersiach.

Rzecz jasna dla dobrze przygotowanego i zaaklimatyzowanego alpinisty, Mont Blanc może być celem szybkiego wejścia. Jednak warto zdać sobie sprawę, że przedrostek „naj" generuje całe mnóstwo zjawisk o charakterze masowym i w efekcie pod NAJ wyższym szczytem kontynentu pojawia się mnóstwo osób zupełnie nie przygotowanych do alpejskiej wyprawy, nawet jeśli ich ekwipunek nie budzi zastrzeżeń… Tylko w ciągu 9 dni trwania naszej wyprawy w masywie Mont Blanc zginęło 10 osób. Helikopter Securite Civile parokrotnie przelatywał nad naszymi głowami. Nie były to puste przeloty...

Chamonix

Spacerując po deptaku w Chamonix, stolicy europejskiego alpinizmu, na każdym kroku napotkasz symbole odnoszące się do tradycji i historii alpinizmu. Pomniki pierwszych zdobywców i przewodników. Słynne muzeum alpinizmu, nie wspomnę o dziesiątkach sklepów alpinistycznych załadowanych sprzętem po same sufity. Dodajmy restauracje, kafejki i pizzerie. Jest w czym wybierać. Tylko z centrum Chamonix zobaczysz piękny jęzor lodowca Glacier des Bossons, a w tle dumną Monte Bianco.

Startujemy z Chamonix-Les Houches kolejką gondolową z zamiarem dotarcia do kolei zębatej Bellevue (1794 m). Jak się wkrótce okazuje, jest ona nieczynna. Skalna lawina skutecznie zasypuje torowisko, blokując działanie kolejki. Trasa jest zamknięta i trzeba wybrać inny, dłuższy wariant podejścia. Część grupy decyduje się na powrót i wejście drugą trudniejszą drogą przez Aiguille du Midi. Druga część, w tym niżej podpisany, zawraca. Grupa podstawowa kontynuuje wejście drogą Goutera.
Powrót do centrum Chamonix, skąd zostajemy dosłownie wystrzeleni kolejką linową w kierunku Aiguille du Midi. Już sam wjazd tą ultra szybką kolejką gondolową (14 m/s), zawieszoną gdzieś wysoko między szczytami, sygnalizuje - będzie się działo! Pierwszy krok za nami. Dojeżdżamy do górnej stacji zwanej Południową Igłą (3842 m). Lokalizacja tej budowli zdaje się przeczyć wszelkim prawom fizyki. Jest to majstersztyk technologiczny, przy budowie którego zginęło dziesiątki pracowników i alpinistów.

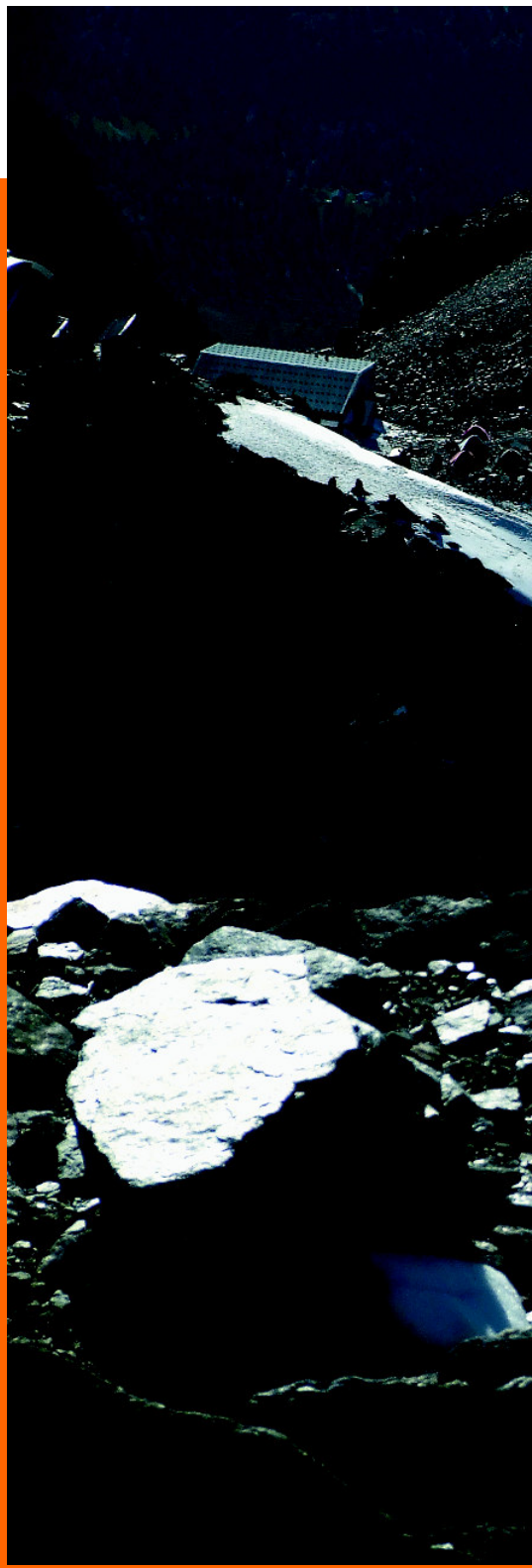

W twardej litej skale o kształcie igły, podziurawionej tunelami jak ser szwajcarski, wybudowano górną stację kolejki linowej. Kolejnym krokiem jest wyjście na grań, która prowadzi do obozu namiotowego znajdującego się 1000 metrów niżej pod skalną igłą.
Tylko że grań ta ma teraz szerokość najwyżej pół metra… Z lewej strony pod

nogami mocna ekspozycja, ponad 3 kilometry. Z prawej jedyne 900 metrów. Wbijam w nią czekan, wchodzi jak w masło. Jest cholernie miękko, dużo świeżego śniegu. Kręci mi się w głowie. No tak, ekspres kolejką na 4000 metrów w 25 minut robi swoje. Na plecach 18 kilogramów sprzętu też raczej nie pomaga. Powstaje pytanie - jak tu zachować spokój i równowagę. Asekuracja lotna z liną nie poprawia sytuacji, po paru próbach poddajemy się. Zbyt niebezpiecznie, psycha siada, jest już późno, (dochodzi 19), wjechaliśmy wszak ostatnią kolejką. Wjazd z opcją bez powrotu. No cóż, przynajmniej będzie bonus w postaci aklimatyzacji na czterech tysiącach. Przygotowujemy się z innymi alpinistami do spędzenia nocy w skalnych tunelach Południowej Igły. Robi się ciemniej, temperatura gwałtownie spada, na zewnątrz zaczyna być naprawdę zimno (–25°C). Słońce szybko chowa się za horyzont. W stacji panuje atmosfera, niczym w kosmicznej bazie na innej planecie. Dooko-

ła jarzą się w księżycowym blasku alpejskie szczyty. Gdzieś po prawej, wysoko w dali majaczy Mont Blanc. Jest naprawdę piękne... Wysokość jednak robi swoje, sen jest szarpany i niespokojny, mimo wszystko udaje nam się wstać o 6 rano.

Plan jest taki. Zjazd do Chamonix i pościg za drugim zespołem, który wybrał klasyczną drogę na szczyt przez Gouter.

Aby zwiększyć tempo marszu rezygnujemy z części sprzętu i ruszamy za chłopakami prawie na lekko. Startujemy znowu z Chamonix-Les Houches. Wyznaczamy stałe szybkie tempo, za pomocą altimetru Suunto kontrolujemy wysokość i czas przejścia. Spieszymy się. Dookoła bajeczne widoki, wszystko jest nasycone zielenią i błękitem nieba. Nogi same

niosą. Dopiero w Schronisku Tete du Rousse (3160 m) robimy dłuższą przerwę. Dzwonimy do pierwszego zespołu, który od dwóch dni „łapie klimę" w schronisku Gouter. Wszystko OK. Czekają na nas. Ale i tak mamy mało czasu, bo plan zakłada wyjście w kierunku szczytu dziś o pierwszej w nocy. Kamil zwraca naszą uwagę na skalną ścianę i kuluar podejściowy pod Goutera (zwany Rolling Stones). Okazuje się że dzień wcześniej
miał tam miejsce wypadek. Jedna z osób podchodzących do schroniska spadła trafiona spadającym kamieniem.

W schronisku Tete du Rousse znajdziesz wszystko, czego potrzebujesz, ale ceny są adekwatne do wysokości. Za to jest czysto i ciepło. Odpoczynek około godziny i ruszamy w dalszą drogę, przed nami kuluar...
Miejsce to szczyci się niechlubną sławą. Odłamujące się, spadające kamienie co roku ranią wspinających się śmiałków. Często kończy się to śmiercią, więc kilkudziesięciometrowe trawersowanie kuluaru dostarcza sporych emocji. Trawers pokonujemy na podwyższonym poziomie adrenaliny, ale format odłamków skalnych leżących dookoła na trasie podejścia daje do myślenia. Wyżej rezygnujemy z raków, gdyż zaczyna się skalna wspinaczka w 900-metrowej ścianie Goutera. Nie jest to przyjemny moment. Wysoko nad tobą ekipy alpinistów, co chwilę strącają odłamki skalne, pędzące bezszelestnie z dużą prędkością w dół, trzeba naprawdę uważać. Kask jest obowiązkowy. W połowie drogi obserwujemy dwie akcje ratunkowe z użyciem helikoptera. Wyżej na grani zdarzyły się dwa wypadki, złamanie nogi i pęknięty bark (lecące kamienie). Wszystko to dzieje się 150 metrów nad naszymi głowami. Część zespołów używa lin do asekuracji jednak rezygnacja z liny znacznie podnosi tempo podejścia i ogranicza czas przebywania w niebezpiecznej strefie. A dookoła przepiękne widoki, potężne alpejskie szczyty, a w dole małe jak pudełko zapałek schronisko Tete du Rousse, w którym tak niedawno byliśmy. Ostatnie metry ściany Goutera wyczerpują nasze zapasy energii. Ale tempo zmalało nie tylko w skutek zmęczenia. Zakładamy raki, gdyż skały zrobiły się mocno oblodzone. W końcu docieramy do schroniska Aiguille du Router (3817 m) tuż przed zmrokiem, a piękny zachód słońca jest ukoronowaniem naszych trudów. Dzięki obecności pierwszego zespołu czeka na nas zarezerwowana „gleba" za jedyne… 30 euro.
A na zewnątrz rozpętała się zamieć śnieżna i temperatura spada do –25°C.

Mamy nadzieję, że pogoda się poprawi, bo do planowanego wyjścia w kierunku szczytu mamy raptem 3 godziny. Przeznaczamy ten czas na odpoczynek. W niezbyt dużym wnę-

trzu, śpi, gdzie tylko jest to możliwe, ponad 100 osób. Ubrani, zwarci i gotowi do akcji, z czołówkami na głowach. Niezły widok! O pierwszej w nocy jak na gong wszyscy wstają niczym lunatycy, szybkie śniadanie i w drogę. Nasza grupa spała częściowo w namiotach na zewnątrz. Okazuje się, że nocna zamieć śnieżna i potężny wiatr pozostawia ślad na morale zespołu. Część osób rezygnuje z ataku... O pierwszej pogoda wciąż jest kiepska. Widoczność na parę metrów, wiatr osiąga ponad 120 km/ h. Jednak zespoły alpinistów ruszają w górę. Po chwili wahania też wyruszamy. Co chwilę mijają nas zawracający: „Nic nie widać, za duży wiatr, rezygnujemy, powodzenia".

Zatrzymujemy się tylko na małe chwile, jest zbyt zimno! Regulujemy oddech, pijemy wodę i dalej do góry. Nogi zapadają się w głębokim śniegu. Nie widać drogi, w dali majaczą światełka latarek czołowych, alpinistów, którzy wyszli przed nami. Mozolnie i bardzo powoli idziemy pod górę. Po paru naprawdę długich godzinach wiatr ustaje. Na chwilę się wypogadza i nad naszymi głowami rozbłyskują gwiazdy... Robi się pięknie... Jednak wyziębienie i zmęczenie robi swoje, gdzie ten Vallot? Gdzie jest

schron? Schron Vallota nie jest jednak tak blisko, jak nam się wydawało. Dochodzimy do niego mocno wyczerpani. W aluminiowym schronie robimy dłuższą przerwę. Zabrane ze sobą śpiwory są wybawieniem. Na grani prowadzącej do Blanca wciąż mocno wieje, zawracające grupy alpinistów ogrzewają się w schronie przed zejściem w dół. Zachowujemy zimną krew i czekamy na swoje "okno pogodowe". Mimo tego, że

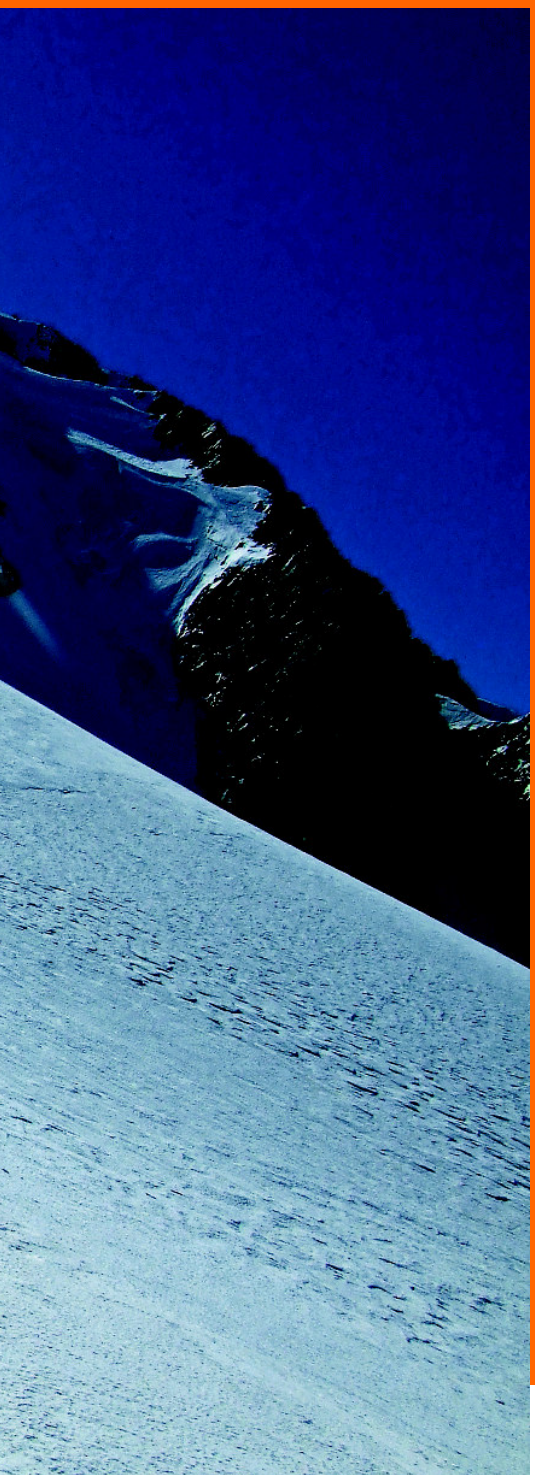

jesteśmy osłonięci od wiatru, w schronie panuje dziwna przejmująca wilgoć i zimno. Ale zawsze to schron. Po około trzech godzinach pogoda trochę poprawia się, rosną nadzieje na wejście. Kiedy przygotowujemy się do drogi naszym zdumionym oczom pokazuje się Dominik Ziembowicz, który jak się okazuje wraca już ze szczytu. Wyruszył o pierwszej w nocy i bez postoju w schronie kontynuował wspinaczkę. Stanął na szczycie w czasie największej zadymki! Nie wygląda najlepiej, twarz przemrożona i opuchnięta, jest mocno wyziębiony.

Teraz pora na nas. Wyjście ze schronu nie jest łatwe, wieje jak diabli. Ruszamy dość mozolnie, ale powoli się rozkręcamy. Trasa na Blanca przez „Garby Wielbłąda" jest piękna! Rośnie ekspozycja, z jednej i drugiej strony robi się wręcz przepaściście.

Wydeptana ścieżka prowadzi wąską granią, od ekspozycji może zakręcić się w głowie. Jeden nieuważny krok i... już wiem dlaczego tak często dochodzi w tym miejscu do tragedii. Trzy dni przed naszą wyprawą trójka włoskich alpinistów zginęła właśnie w tym miejscu. Na grani często formują się nawisy śnieżne, niżej trzeba zwracać uwagę na szczeliny. A nad głowami niebo robi się coraz bardziej granatowe, dookoła niczym nie ograniczona przestrzeń... W pewnym momencie nad nami po stronie włoskiej pojawia się piękna sylwetka białego szybowca. Bezszelestnie szybuje nad szczytami zawieszony gdzieś wysoko w błękicie. Odbieramy to jako dobrą wróżbę. Szybko niknie nam z oczu... a może go tam wcale nie było...

Grań szczytowa wydaje się nie mieć końca, wierzchołek za wierzchołkiem trochę to irytujące... Czy to w końcu główny wierzchołek? Nogi stają się coraz cięższe, trudno się oddycha. Szczyt wyłania się niespodziewanie spoza kolejnego skłonu. Widnieją na nim kolorowe proporczyki i flagi innych krajów. Jesteśmy. Dach Europy zdobyty!

Na szczycie jesteśmy we dwójkę. Dookoła nie widać nikogo! Taka sytuacja na szczycie Mont Blanc to prawdziwa rzadkość. Wrażenia niesamowite. Robimy obowiązkowe zdjęcia.

Na wierzchołku spędzamy w sumie około 40 minut, to trochę za długo. Samotne chwile na wierzchołku trwały nieco krócej. Od strony Aiguille du Midi obserwowaliśmy wchodzący z ogromnym wysiłkiem inny zespół. Na szczycie byli skrajnie wyczerpani, a przecież czekała ich jeszcze droga w dół. Wymieniliśmy tylko pożegnalne spojrzenia i ruszyliśmy w powrotną drogę.

W tym dniu na szczyt wystartowało około 150 osób. Na wierzchołku stanęło niewięcej niż 20. Z naszej 15-osobowej grupy szczyt zdobyło 6 osób. Razem z Maćkiem osiągnęliśmy wierzchołek w 12 godzin nie korzystając z kolei zębatej. Ważne jest także to, że wszyscy wrócili cali i zdrowi.

Podziękowania dla Pawła Sokołowskiego i Kamila Gabarskiego za profesjonalną organizację naszego wyjazdu.

Więcej zdjęć na: www.heliasz.com